

Od autora: Trzecie miejsce w konkursie Malowanie słowem 2021.

Tekst inspirowany obrazem Łukasz Prządki - We failed

<http://przadka-art.pl/Oil-paintings/#&gid=1&pid=1>

Tego dnia wstał wcześniej. 3:15. Lato, więc już widno. Nie spał zbyt dobrze. Sen był nerwowy, czujny. Jak zwykle przed ważnymi dniami w jego życiu. Powolnym krokiem wyszedł na ganek, tak prosto z łózka, jeszcze rozgrzany. Stojąc na wyszczerbionych, betonowych schodkach z trudem się rozprostował, przyłożył rękę do czoła, spojrzał na wschód. Na skraju lasu, za świeżo po żniwach zaoranym polem niebo jeszcze mocowało się z nocą, ale już było wiadomo, że dzień będzie ładny, suchy. Cztery punkciki na polu, sarny. Może jelonki. Wpatrując się w horyzont, podrapał się leniwie po nagim, siwym torsie, ziewnął, poprawił opadające, wymiętolone i niezbyt czyste kalessony.

Pochylając głowę, przez małe, pokoślawione starością drzwi wrócił do izby. Rozejrzał się, przyzwyczajając oczy do półmroku. Małe okienka jeszcze nie wpuściły dużo światła, zresztą – patrzyły na południe. Jeszcze trochę. No dobrze – trzeba się trochę ogarnąć, ogolić, umyć. Z szafy wyciągnął szykowny jeszcze garnitur, który służył mu od prawieków. Garnitur czarny, wełniany, trochę wyświecony na łokciach i kolanach, ale kto tam będzie patrzył... Nalał wody do miski. Woda ze studni, zimna, świeża, pachnąca ziemią po deszczu. Z szuflady w stole wyciągnął przybory do golenia - brzytwa, mydło, rozczapirzony, pamiętający jeszcze dzień przed Potopem pędzel. Od Potopu, zresztą, nieużywany. Za pomocą nożyczek pozbył się długiej, siwej brody, zrzucając odcinane kosmyki na skrzypiące pod nogami deski podłogi. Resztę – to już brzytwą. Po goleniu ochlapał twarz zimną wodą z miski. Dolał wody, zrzucił kalessony i dokładnie umył całe ciało wodą z szarym mydłem. Zapachniało.

Ubrany już odświętnie w białą, lnianą koszulę ze staromodną stójką, czarny garnitur i znoszone, choć ponadczasowo eleganckie lakierki stanął na środku izby. Rozejrzał się – łóżko z rozgrzebaną pościelą, kredens, stół, stojak na miskę, gołe ściany w wypalonych przez czas miejscami po świętych obrazach. W rogu pokoju piec. Piec. Może kawa i śniadanie... E, tam. Podniósł przewrócone krzesło. Jedno, bo nikt go od tysięcy lat nie odwiedzał. Miał tylko syna, ale ten – owładnięty jakimś szalonym pomysłem, wyprowadził się kiedyś i już nie wrócił. Podobno młodo zginął, nie wiadomo dokładnie. Tak mówią.

Z rękoma w kieszeniach, znów zginając się w progu, wyszedł na podwórko. Choć zalane porannym już światłem, osłonecznione – puste i ciche. Z przyzwyczajenia gwizdnął i zacamokał w kierunku drewnianej stodoły gdzie stała psia buda. Buda pusta – zapomniał, że Morus zdechł na wiosnę. Morus – pow-sinoga. Nie był nigdy do budy przywiązany, więc co dzień rano, za nic sobie mając symboliczne raczej (umówmy się) ogrodzenie chałupy, wyskakiwał do wsi na pół godziny, załatwiając swoje nie wiadomo jak ważne sprawy. Wracał zawsze zdyszany, merdający ogonem, hałaśliwie wypijał wodę z miski przy budzie. Dopiero wtedy przyskakiwał do Pana, witając się z nim na nowy dzień. Morus zdechł na wiosnę, już nie brał nowego psa. Niech tam.

Skrzywił się lekko na wspomnienie Morusa, westchnął i wodząc palcami po porozrzucanych po całym podwórku nieużywanych już sprzętach, przeszedł się wolno po całym obejściu. Kurnik, stodoła, obora – wszystkie puste. Począł, aż pocziwe kurki wyzdychają ze starości, konia i krowę sprzedał. Ule razem z pszczołami ukradli jeszcze w zeszłym roku.

Stoi teraz na środku martwego podwórka, znów włożył ręce do kieszeni i powoli obracając się macał wzrokiem znajome kąty, budynki, płot, pole i las na horyzoncie. Podeszedł do starej stodoły, krytej strze-

chą, wybudowanej w wieki temu. Stodoła, jak trzeba – stojąca od zachodu, chroniąca podwórko od wiatrów i mrozu pełzającego zimą od strony lasu. Od strony południowej stodoła była obrośnięta winoroślą. Dobrą, starą, dającą słodkie grona. Winorośl pielęgnowaną, szanowaną. W końcu – niezłe winko z niej było. Oj, delectował się kiedyś tymi winkami, dobierał smaki, mieszał z innymi owocami, dzielił i częstował. Jednak, z czasem, zapal i estyma do winka własnej roboty osłabły. Potem już tylko kupował miejscowy bimer. Tani, cuchnący żelazem i ropą. Ale mocny!

No dobra, czas na nas... Wyprostowany, jakby na tę chwilę młodszy i silniejszy podszedł do olbrzymich, dwuskrzydłowych wrót stodoły. Odemknął skobel i zdecydowanym ruchem pociągnął w swoim kierunku zamasyżycie oba skrzydła. Zrobił przy tym trzy kroki do tyłu, drzwi minęły jego rozpostarte dłonie o centymetry i zatrzymały się w wysokiej trawie. On stoi z uniesionymi i rozkrzyżowanymi ramionami. Trochę to wygląda teatralnie, kiczowato. Pajac! Tani efekciarz. Jak zawsze zresztą.

Opuszcza ramiona, zwiesza głowę. Powoli – raz, dwa, trzy kroki... Wchodzi w półmrok otwartej czołwi stodoły. Jeszcze przez chwilę widać jego plecy w czarnej, odświętnej marynarce, poprzecinane wpadającymi do stodoły pasemkami słońca, przeciskającymi się przez rozeschnięte dechy. Staje na środku, podnosi głowę, znów wkłada ręce do kieszeni, zaciskając w nich sękatę pięści. Nie wiadomo jak, pewnie przez podmuch wiatru, wierzeje stodoły z hukiem się zatrząskują wstrząsając całą drewnianą budą i wzbudzając tuman złotego kurzu.

Bóg, W Trójcy Jedyny, Pan Stworzenia, Ojciec Nasz Któryś Jest w Niebie oraz beneficjent wielu jeszcze innych Ważnych Tytułów, powiesił się w swojej stodole o godz 8:30. Dziś rano. Ciała nigdy nie odnaleziono.

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

Bukowski, dodano 28.04.2021 09:51

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.